

Jan Rokita: Zygfryd odarty ze smoczej skóry

Prawdziwy kłopot świata z Niemcami polega na tym, iż to, co w nich najlepsze i najbardziej szlachetne, ma szczególną skłonność do wyradzania się w zło i zbrodnię – pisze Jan Rokita w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Tomasz Mann i dzieje niemieckiej duszy”.

Ponoć Goethe postulował niegdyś z ironią, aby jego naród został pozbawiony ojczyzny i musiał na przyszłość żyć w diasporze. „Niemców – powiadał – rozproszyć należy po całym świecie jak Żydów, aby rozwinęli tę masę dobra, jaka w nich tkwi, ku zbawieniu narodów”. W każdym razie taką opowieść przedstawił Amerykanom Tomasz Mann, 29 maja 1945 r. tłumacząc zgromadzonej w Bibliotece Kongresu stołecznej elicie sens „niemieckości”, w chwili gdy nie ostygły jeszcze z pożarów ruiny zburzonego Berlina, Hamburga, Drezna. Swoją drogą, Goethe, pragmatyczny do bólu, zwłaszcza gdy szło o politykę, z myślą o „zbawieniu narodów” zawitał także w 1790 r. do Krakowa, wykonując zleconą mu przez pruskie tajne służby misję zbadania, czy byłaby szansa na zniemczenie tego miasta na wypadek likwidacji Rzeczypospolitej. (Fakt ów – nawiasem mówiąc – upamiętnia tablica ulokowana na Rynku przez dumnych krakowian). W tamtym waszyngtońskim wykładzie, który odbił się potem szerokim echem także nad Renem i Łabą, Mann wystąpił w roli krytyka niemieczyny; nic zresztą dziwnego, zarówno miejsce występu, jak i historyczna chwila nie pozwalały chyba na nic innego.

Ale pisarz próbował zarazem tłumaczyć Amerykanom, że ironiczna uwaga rzucona niegdyś przez Goethego ma głębszy sens, albowiem, paradoksalnie, prawdziwy kłopot świata z Niemcami polega na tym, iż to, co w nich najlepsze i najbardziej szlachetne, ma właśnie szczególną skłonność do wyradzania się w zło i zbrodnię. Zdaniem Manna niemieckie dzieje miały bowiem doprowadzić do historycznej deprawacji dwóch szlachetnych co do zasady, a zarazem kluczowych dla niemieckości idei politycznych. Najpierw idei wolności, a to dlatego, iż Niemcy (w przeciwieństwie do Francuzów) nie zaznali żadnej zwycięskiej wolnościowej rewolucji wewnątrz swego kraju, w efekcie czego niemiecki koncept narodowej wolności utożsamił się z zewnętrzną „wołą niemieckości, wyłącznie niemieckości i niczego ponadto”. W ten sposób zarówno niemiecka szlachetna powaga w materii religii, która legła u źródeł protestantyzmu, jak i niemiecki duch patriotyczny, rozbudzony podczas romantycznego buntu antynapoleońskiego, wyrodziły się w coś „bliskiego duchowi barbarii”. W 1945 r. Mann przedstawia się jako ten, kto nie znosi tych wszystkich niemieckich „kombatantów wojen wyzwoleniczych” czy patriotycznych „studentów z korporacji”, wzbudzających weń jedynie „odczucie odrazy estetycznej i prymitywizmu”. Dość chełpliwe zestawia siebie samego z Goethem, który nie wsparł wyzwoleniczego powstania przeciw panowaniu Napoleona właśnie dlatego, że było ono zdominowane przez „element barbarzyńsko-narodowy”.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaż darowiznę w dowolnej wysokości.

Niemieckie dzieje miały też zdeprawować inną z gruntu szlachetną ideę – „pierwotny uniwersalizm i kosmopolityzm” zakorzeniony w wielowiekowej tradycji Świętego Cesarstwa, zniszczonej dopiero przez Bismarcka. Mann upatruje tutaj swego rodzaju „dialektycznego zwrotu”, który sprawił, iż „Niemcy dali się uwieść”, przekształcając w swej świadomości ową prastarą uniwersalistyczną misję w jej przeciwieństwo: brutalny projekt politycznego panowania nad Europą. W waszyngtońskim wykładzie pisarz nie objaśnia Amerykanom jasno, w jaki sposób miałyby dokonać się ów „dialektyczny zwrot”, idzie mu bardziej o to, aby słuchaczy przekonać, iż nie ma po prostu „złych i dobrych Niemiec” (jak się zwykło potocznie uważać), ale że polityczne zło rodzi się w jego narodzie zawsze na głębokich pokładach niemieckiej szlachetności. My jednak dobrze wiemy, że o naturze owego niemieckiego uniwersalizmu pisarz nie wypowiada się w Waszyngtonie po raz pierwszy.

Ćwierć wieku wcześniej, w jakimś sensie w podobnych okolicznościach historycznych – gdy Niemcy zostają pokonane w I wojnie światowej – Mann pisze potężny esej na temat „niemieckiej antypolityczności”, wydany drukiem w 1920 r. Wedle tamtego klasycznego opisu stosunku Niemiec do świata niemiecka tradycja polityczna to tradycja mieszczańska, a jej istotą jest nieufność wobec wszelkich idei i instytucji politycznych, zespolona z wiarą w sens upowszechniania niemieckiej, czyli mieszczańskiej formy życia: porządku, konsekwencji, spokoju i pilności. W tym sensie – pisze Mann – dla polityki niemieckiej „ponad-narodowy to coś zupełnie innego i lepszego niż międzynarodowy, a ponad-niemiecki oznacza nade wszystko niemiecki”. Całkiem inaczej jednak niż w roku 1945, po I wojnie światowej pisarz nie występuje bynajmniej w roli krytyka tak rozumianej niemieckiej „wyjątkowości”, ale przeciwnie w roli jej

chwalcy. Pomimo wojennej klęski z entuzjazmem traktuje militarne go ducha swego narodu, który ukazał się światu w 1914 r. A nawet (całkiem na przekór ugruntowanemu później humanistycznemu wizerunkowi) broni samej zasady wojny w imię niemieckiego ideału uniwersalnego porządku, jako metody „utrzymania i wzmocnienia narodowej wyjątkowości”.

*Pomimo wojennej klęski
Mann z entuzjazmem traktuje
militarnego ducha swego
narodu, który ukazał się
światu w 1914 r.*

Jednym z duchowych przeciwników atakowanych wówczas przez Manna jest Wilhelm Friedrich Förster – „katolicki Niemiec” (jak o nim pisze),

dodajmy – konserwatysta, dla którego nieszczęściem niemieckiego dziedzictwa są właśnie wynaturzenia reformacji i „bismarckizmu”. Czyli te same, o których Mann ćwierć wieku później z narodowo-krytyczną swadą będzie opowiadać Amerykanom. Ów monachijski profesor etyki i pedagogiki, autor wydanej w Polsce w 1939 r. świetnej książki *Niemcy a Europa*, reinterpretuje sławną legendę o Nibelungach w taki sposób, aby figura Zygryda odzianego w skórę smoka stała się „symbolem Niemca, który opasał się skórą pruską”. I to nie w jego naturze, ale w naturze owej skóry utkwiał identyfikowany często z Niemcami pierwiastek „żelaza i stali”. Owa pruska skóra, od której Förster chciał uwolnić niemczyznę, ma swoją dziejową genezę w krzyżackiej „wspólnocie wojowniczych i państwo-twórczych mnichów”, jaka powstała w zdobytej przez krzyżowców Akce. I której Fryderyk II Hohenstauf – cesarz, który niemczyznę skaził bizantyjskim absolutyzmem i opresyjną biurokracją – nadał ramy zmilitaryzowanego „państwa koszarowego” ze stolicą w Malborku.

Co ciekawe, zwłaszcza w świetle polskich debat o politycznym dziedzictwie śródziemnomorskiego Południa, to właśnie stamtąd, z palestyńskiej Akki i z sycylijskiej ojczyzny Fryderyka II, wywodzi się owo straszne historyczne „sprzeniewierzenie się Niemiec samym sobie”. Północny naród, który z racji swego centralnego położenia geograficznego w Europie i uniwersalistycznego powołania miał do spełnienia misję jednoczenia Europy na moralnych fundamentach chrześcijaństwa, wynaturzył się w nowożytności tak, iż ową misję przekształcił w brutalny podbój. Nietrudno dostrzec, że choć liberał Mann i chrześcijanin Förster wychodzą z odmiennych przesłanek ideowych, ich wnioski w kwestii niemieckiego uniwersalizmu i jego dziejowych meandrów jest dość podobny. Oczywiście, jeśli mówimy o waszyngtońskim Mannie z 1945 r., po doświadczeniu nazizmu i drugiej wojennej klęski. Bo w roku 1920 militarysta Mann pokpiwa sobie raczej z monachijskiego profesora-konserwatysty, iż marzy mu się jakaś iluzoryczna odbudowa Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego.

Dlaczego warto myślać powracać do tamtych prób niemieckiej narodowej introspekcji? A nawet więcej: dlaczego warto na nowo namyślać się (zwłaszcza w Polsce) nad tym, co współcześnie może znaczyć tradycja niemieckiego uniwersalizmu, nawet jeśli pretekstem są tylko urodziny wybitnego obywatela hanzeatyckiej Lubeki? Bo patrząc na współczesną Europę, trudno oprzeć się wrażeniu, iż od ponownego zjednoczenia Niemiec w roku 1990 kwestia niemieckiego rozumienia jedności Europy i szerzej – trendu globalizacji stała się na nowo jednym z najbardziej centralnych problemów realnej polityki. Bundesrepublika – czyli Niemcy podbite politycznie i kulturowo przez Amerykę, to w gruncie rzeczy wymarzony przez Förstera Zygfryd, który w końcu zdjął smoczą skórę (czy też raczej zdarto mu ją siłą), albo

mówiąc językiem Manna z 1945 r. – państwo, które jeszcze raz dokonało „dialektycznego zwrotu”, aby powrócić do korzeni swego „naturalnego i pierwotnego kosmopolityzmu”. Z takim właśnie państwem i narodem niemieckim mamy do czynienia w realnej polityce co najmniej od trzech dekad. A mocarstwowa, przynajmniej w sensie ekonomicznym, pozycja tego państwa stanowi oczywiste wyzwanie, nie tylko dla jego sąsiadów.

Mocarstwowa, przynajmniej w sensie ekonomicznym, pozycja Niemiec stanowi oczywiste wyzwanie, nie tylko dla jego sąsiadów

Odarty ze smoczej skóry Zygfryd stał się w samej rzeczy kosmopolitą, miłującym otwarte granice, wolny handel i liberalną praworządność,

humanitarnie gościnnym dla uchodźców i nieznoszącym własnej armii, którą najchętniej by rozbroił (nie robi tego tylko dlatego, że boi się wielkiej politycznej awantury). Ale też jego „pierwotnie kosmopolityczna” dusza znosi coraz straszniejsze męki, patrząc, jak świat, a nawet europejscy sąsiedzi nie chcą przyjmować „niemieckich wartości”, które są przecież tylko świadectwem troski o ów świat i biorą się – mówiąc językiem Goethego – z niemieckiej „masy dobra, jaka mogłaby świat zbawić”. Potrzeba zdrowej gospodarki i dyscypliny finansowej, troska o planetę i klimat, jaki zapanuje na niej za sto lat, liberalna organizacja społeczna zagrożona przez narodowe partykularyzmy, zrozumienie dla humanitarnej konieczności otwarcia na imigrantów... Tę listę składników współczesnej niemieckiej „masy dobra” nie jest trudno rozwijać dalej i dalej. Przypomnijmy: „Ponadniemiecki znaczy przecież nade wszystko niemiecki”. W tej tezie

Tomasz Mann był nawet gotów zgodzić się z Försterem w roku 1920, jeszcze na swoim militarystyczno-bismarckowskim etapie myślowego rozwoju.

Pośród sąsiadów Niemiec, i nie tylko samych sąsiadów, z oczywistych powodów widać taką chęć, aby wyszydzić, zdemaskować albo po prostu zwalczyć owo świeckie misjonarstwo, postępujące za „pierwotnym niemieckim kosmopolityzmem”. Do annałów przeszły szyderstwa polskiego ministra spraw zagranicznych, który na łamach niemieckiej gazety kpił z narodu pragnącego cały świat przekształcić w krainę „rowerzystów i wegetarian używających jedynie zielonej energii”. Demaskowaniem prawdziwych źródeł niemieckiego misjonarstwa zajmują się liczni naukowcy i publicyści, których celem jest wykazać zawsze to, iż jakby najbardziej idealistycznie zachowywało się na scenie niemieckie państwo, to i tak zawsze idzie mu przeciw o budowanie potęgi, a nie o jakieś tam niemiecko-universalne zasady. Tak było podczas wielkiego kryzysu finansowego sprzed przeszło dekady, tak w czasie kryzysu uchodźczego w Europie, tak jest również teraz, gdy pod wpływem zarazy Berlin godzi się nawet na przejęcie jakiejś części długów zrujnowanego gospodarczo europejskiego Południa. Przeciwwstawianie się niemieckim wpływom jest z kolei świetnym hasłem wyborczym, jakie regularnie przetacza się przez demokratyczne kampanie wyborcze, od Francji, Włoch i Grecji, aż po Czechy i Polskę. Polityczny kłopot jest prawdziwy i wcale nie jest łatwo dać nań jakąś prostą receptę. Albowiem współczesna polityczna praktyka owego „pierwotnego niemieckiego kosmopolityzmu” nie tylko idzie świetnie w parze z budowaniem niemieckiej potęgi (co było pragnieniem i Manna, i Förstera, i wielu „dobrych Niemców”), ale także sprawia rozmaite realne kłopoty niemieckim sąsiadom w Europie. Jedno, co z pewnością zawsze warto mieć w pamięci, to brzmiący jak przestroga wywód Tomasza Manna z waszyngtońskiego wykładu, o tym

jak łatwo u naszych sąsiadów o ów kolejny „dialektyczny zwrot”, który „pierwotnie niemiecki” i bez wątpienia w jakimś sensie szlachetny uniwersalizm wyradza w coś, co bywa „bliskie duchowi barbarii”. Kiedy bowiem pamiętamy o tej przestrodze, natychmiast rozumiemy też, że przynajmniej w moim pokoleniu Fortuna pozwoliła nam mieć do czynienia z Niemcami absolutnie najlepszymi z tych, jakie w ogóle są możliwe.

Jan Rokita

[Cytaty w tekście pochodzą z wykładu T. Manna zawartego w tomie *Moje czasy*, Poznań 2002 i fragmentów *Poglądów człowieka antypolitycznego* publikowanych przez „Kronos” 2011, nr 2, a także z książki F.W. Förstera *Niemcy a Europa*, Warszawa 1939.]



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 - 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego